

SÁNDOR
MÁRAI



ŚLADAMI
BOGÓW

CZY
TEL
NIK

SÁNDOR
MÁRAI

*

ŚLADAMI
BOGÓW

Przekład, przypisy i posłowie
Irena Makarewicz

Czytelnik

Tytuł oryginału
Istenek nyomában

© Heirs of Sándor Márai, Csaba Gaal (Toronto)

Konsultacja merytoryczna
prof. dr hab. Marek Dziekan

Okładkę i kartę tytułową projektowała
Maria Drabecka

Redaktor prowadzący
Anna Rucińska

Redaktor
Milena Schefs

Korektor
Agnieszka Czerepowicka

Redaktor techniczny
Hanna Bernaszuk

© Copyright for the Polish translation
by Irena Makarewicz, 2021

© Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2021

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa
Warszawa 2021. Wydanie I
Ark. wyd. 9,3; ark. druk. 16,5
Skład: WMC, Warszawa
Druk: Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca SA, Kraków

ISBN 978-83-07-03496-6

Przedmowa

(do nowego wydania)

Prezentowane tu zapiski stanowią trwałą ślad wspomnień ze spotkania młodości i podróży, od którego minęło już ponad dziesięć lat. Teraz, podczas ponownej lektury, związanej z poprawianiem ich na potrzeby nowego wydania, ze szczególną nostalgią zauważałem bijącą ku mnie z tych kart temperaturę przekornego, upartego entuzjazmu i optymizmu – do tak silnego i wzbudzonego w dobrej wierze zapału zdolna jest jedynie najwcześniejsza młodość, gdy człowiek święcie wierzy, że świat wynaleziono i urządzono akurat na jego cześć, a prawdziwy sens tego wynalazku – gatunków, krain, dzieł ludzkich i ponadludzkich – zawiera się w tym, że on, człowiek, jest podróżnikiem i że ten wynalazek poznaje, zachwyca się nim i go używa. Byłem entuzjastycznym wędrowcem. I właśnie ów entuzjazm jest jedyną racją publikacji niniejszego tomu.

Niewątpliwie Aurél Stein¹, archeolog i geograf, zwraca w swoich podróżach uwagę na inne aspekty. Jednakże młodość postrzega świat z okrutną siłą i niekiedy siłą

¹ Sir Marc Aurel Stein (węg. Stein Márk Aurél, 1862–1943) – urodzony na Węgrzech brytyjski podróżnik i archeolog, badacz Azji Środkowej i historii Jedwabnego Szlaku, odkrywca licznych buddyjskich dzieł i dokumentów, autor artykułów i książek relacjonujących jego podróże i badania. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

tej wizji zastępuje skomplikowane i czułe instrumenty naukowej percepcji. Ten rodzaj podróży, który krainy i ludy przyswaja w postaci wizji, nie nadaje się do zarejestrowania tego, co jest rzeczywistością topograficzną i etnograficzną; ale gdy gorączkę entuzjazmu podróżującej duszy wymiesza z refrakcją wizji, to ostatecznie i taka podróż przekaże informację – podobnie dzieje się w wypadku przybyłego z obcego świata promienia świetlnego, pochwyconego przez kryształ i rozszczerzonego przezeń na spektrum barw. Kiedy ruszałem na Wschód, zabrałem ze sobą dwa płócienne ubrania, kapelusz tropikalny, zdumiewająco mało pieniędzy oraz *Fausta* Goethego. To nie był profesjonalny ekwipunek. Wcześniej, na mniej awanturnicze wyprawy, wyruszałem wyposażony bardziej przytomnie i gruntownie. Co do kapelusza tropikalnego, to już w Aleksandrii okazało się, że jest całkowicie nieprzydatny, ponieważ lepi się do skóry i jest w nim gorąco. Mimo to w każdej chwili tej trzymiesięcznej podróży miałem poczucie, że jestem badaczem, że gdzieś pomiędzy dwoma światami, pomiędzy południkami wyznaczającymi świat dostępny zmysłom oraz ten, który jest im niedostępny, wykonuję prace wykopaliskowe, z pomiętym egzemplarzem *Fausta* w kieszeni. Na tyle nieskromny jest człowiek – z początku. Chciałbym jeszcze raz w życiu podróżować tak biednie i tak nieskromnie.

W krainach, przez które wiodła moja droga, widać było ślady stóp ludzi, którzy zniknęli, i tropy bogów, którzy przepadli. Kiedy czytam te dawne zapiski, uderza mnie oczarowanie, w każdym momencie wyprawy wskazujące mi właściwą trasę. Podróżowałem w półśnie, bez mapy. Przed południem podziwiałem jakiegoś dawnego boga, po południu – jakąś Amerykankę,

wieczorem – małego szakala: w Jerozolimie, przed hotelem, w blasku księżyca, na skrzyżowaniu dróg. Podróżowałem jak ktoś, kto wychodzi naprzeciw przymierzu żywych i umarłych i wie, że wszędzie zostanie przyjęty z przeświadczeniem, że można mu zaufać, bo jest pojętny i wrażliwy na to, co ludzkie i co boskie, a co po drodze będzie roztaczać się przed jego oczami. Chyba tylko tak warto podróżować. To była pouczająca wyprawa: podróżowałem pośród zabójców i zabytków, pustyni i czołgów, wygnanych bogów i wygnanych ludzi. Młodym osobom i dzisiaj nie mogę polecić trasy bardziej pouczającej. I proszę wszystkich, którzy przemierzają krainy czarów, niech nie zapomną wziąć z domu dwóch przydatnych akcesoriów w bagażu podróżnika: *Fausta* oraz entuzjazmu. Kapelusz tropikalny nie jest bezwarunkowo konieczny. Za to dreszcze i nabożność, które mnie przeniknęły, gdy po raz pierwszy przystanąłem w dolinie Libanu, czy też na Górze Oliwnej, są do takiej podróży absolutnie niezbędne.

jesień 1937

S.M.

Zaczarowane miasto

*Partir, c'est mourir un peu!*¹

¹*Partir, c'est mourir un peu* (fr.) – odjechać to trochę umrzeć. Cytat z wiersza francuskiego poety Edmonda Haraucourta.

Bydło w wagonie

Kiedy pociąg przejeżdżał obok Awinionu, był już wieczór, a ja nawet na widok drzew oliwnych nie byłem skory zapomnieć annamickich¹ żołnierzy we francuskich mundurach, wiezionych ciężarówką z Lyonu do Marsylii, a stamtąd dalej, do Syrii; chodziłem po korytarzu, nękanym mdłościami – i co z tego, że poświęca księżycy, Awinion, kiedy nie sposób pojąć, ogarnąć rozumem, kiedy nie można pogodzić się z tym, że ludzie wciąż się nawzajem mordują. Francuzi prowadzą wojnę w Syrii, a do tej kampanii potrzebni są ci skośnocy annamicki żołnierze. Ale gdzie są Francuzi? Mój przedział jest pełen Francuzów, z których jeden je pomarańczę, drugi, wąsaty, śpi z otwartymi ustami, trzeci czyta powieść grozy. Ci tutaj? Rzeczywiście tego chcą? Nigdy i nigdzie. „Francuzi” – ten termin wydaje mi się teraz nierealny – „Francuzi” kochają życie, dobre wino, dużo pieniędzy, kobiety, wyrafinowane przystawki, nie zaś brud, wszy, rany, trupy, wojnę. Kto w Paryżu lubi wojnę? Na Quai d’Orsay, w pokoju wyklejonym czerwoną tapetą, referent do spraw zagranicznych, który przed kilkoma dniami wydawał mi wizę, uderzył się

¹ Annamici – nazwa używana na określenie Wietnamczyków, gdy Wietnam stał się protektorem Francji w 1881 roku i został podzielony na Kochinchinę, Annam i Tonkin.

w pierś i zaczął krzyczeć, purpurowy na twarzy: „My się tam wykrwawiamy!... My tam prowadzimy wojnę!...”. Nikt mu nie robił krzywdy, przecież siedział w ogrzewanym pokoju, a z okna roztaczał się ładny widok na ogród ministerstwa spraw zagranicznych. Panowała cisza, a on miał chusteczkę skropioną perfumami. Wieczorem pewnie planował zjeść kolację ze swoją lubą... no więc dlaczego „my”? Kim są ci „my”, miałbym ochotę zapytać po peszteńsku, kim są ci „my” – ty i ja, czy to my niby krwawimy? Ten pan lubi wojnę. Mógł być sekretarzem innego pana, który jeszcze bardziej lubi wojnę i siedzi w jakimś innym pokoju, gdzieś w Paryżu albo w Londynie – ktoś to wie? Możliwe, że to starzec z brodą i w binoklach, taki kokiet, ale możliwe też, że to tylko cichy, głupi człowiek, a mimo to właśnie on pewnego dnia jaśniej niż słońce wytłumaczy dwudziestu innym ludziom, że trzeba wysłać do Damaszku annamicznych żołnierzy. Na stacji w Lyonie stały dwa wagony, w jednym annamiccy żołnierze, w drugim żywe bydło. Tej paraleli jeszcze nigdy nie widziałem w tak przejrzystej aranżacji.

Siadam z powrotem w przedziale, rozdrażniony, wiem, że nie da się uciec przed ludźmi, na próżno podróż i odległość, nie zdołam umknąć nawet przed własnym mijającym życiem, wszelkie moje troski podążają wraz ze mną, są tu, w mojej kieszeni, w moim bagażu – jakiś list, jakaś obietnica, jakieś błędne mniemanie, jakieś przekonanie. Przed tym wszystkim na próżno wyjeżdżam na Wschód, na próżno opuszczam Europę, by zobaczyć wielbłądy, palmy i ładnych, mądrych Arabów, daremnie jadę przyjrzeć się śladom dawnych bogów. Osobliwy jest ten niepokój, który trwa od wielu dni: jakbym przed czymś uciekał w sennym koszmarze,

choć z góry wiem, że przy końcu tego snu i tak zostanę schwytany, pewnego poranka obudzę się w swoim mieszkaniu, pośród starych kłopotów, spocony; wszystko przeminęło, nie sposób uciec. Jeśli na dworcu w Marsylii zostałem przypadkiem aresztowany i osądzony, nie bardzo byłbym, tak myślę, skłonny protestować.

Pociąg pośpieszny przybywa do Marsylii, auto zawozi mnie do hotelu, wokoło panuje cisza, noc, w opustoszałym holu słychać fontannę. Wszystko to działa oszałamiająco, bo zawiera w sobie poczucie oddalenia; wciągam powietrze, wychodzę na ulicę, noc jest ciepła, ulice są głośne; *ave*, obce miasto, obcy świat, *ave*, wszystko, co obce. Przepęlnia mnie przyjazne nastawienie, ustępuje zaś powściągliwość względem tego, co obce; chcę się zapoznać, zbliżyć, dotknąć tego podejrzanego, ciepłego, obcego życia.

Siedzę w kawiarni, w otwartej nocy marsylijskiej kawiarni, w której wszystko jest reklamą gustu pana Dufayela, wielkich paryskich domów towarowych; pan Dufayel urządza na kredyt wszystkie kawiarnie na francuskiej prowincji; nie mogę się powstrzymać od uśmiechu pod tymi złożonymi lustrami. Znam ten nastrój uległości, bo łatwowierny ze mnie podróżny, któremu nie trzeba wiele, w którym wszystko budzi zapał, jakieś drzewo przed Awinionem, własna porażka, pewien człowiek śpiący w przedziale kolejowym. Nie jestem butnym podróżnikiem, szybko się poddaję.

Rozglądam się wokoło i żegnam z Francją na jakiś czas. Wiem, że dobrze będzie powrócić, wiem, że kiedyś jeszcze poczuję wielką nostalgię za Paryżem; wiele rzeczy tutaj zrozumiałem, wiele polubiłem. Ale teraz pragnę już stąd wyjechać, całkiem po cichu wyłączyć się z tego zakładu produkcyjnego, który, nieważne jak

niewielki, wciąż przecież jest zakładem, interesem, moim życiem. Te dziwne, trudne lata – można się udusić, nie sposób tak dalej. Dlaczego człowiek nie może być całkiem szczerzy w życiu i w pracy? Przypomina mi się, że kiedyś już siedziałem tu, w Marsylii, w tej otwartej nocą kawiarni... Kiedyś już tu byłem, przyjechałem z Riwiery, porzuciwszy karty i promieniste słońce, to też przeminęło, ten zły i tani niepokój, ta prymitywna i naiwna radość z przypadkowości. Dzisiaj już bym nie potrafił grać w karty, nudzi mnie to; na rzeczy trzeba zarabiać powoli i za wszystkie trzeba zapłacić, tylko wtedy są interesujące; jeśli zaś okazje świata rzuci ci do stóp *rouge* albo *noire*, to można nad tym przysnąć.

Bardzo mądry jestem dzisiaj wieczorem, wcale to do mnie nie pasuje. Idę pospacerować bulwarem La Canebière. Czarny, wczesnowiosenny skwar. Moim śladem jeszcze w kawiarni ruszył mężczyzna we włoskim kapeluszu, a teraz uparcie, jednostajnie brzmiącym głosem oferuje mi odsłonięcie tajemnic Marsylii.

– Ale mimo wszystko, na co ma pan chęć?... – pyta ze złością przy końcu ulicy, przed hotelem, w każdej chwili gotów do ucieczki. Kiedy odwracam się gwałtownym ruchem, spoglądam mu w oczy, w niespokojne ludzkie oczy, i częstuję go papierosem, potulnieje, odwraca wzrok w zakłopotaniu, nieśmiało wyciągniętymi palcami bierze papierosa i powtarza z wahaniem, nie patrząc na mnie:

– Ale mimo wszystko... Jeśli pan chce, jeśli życzy pan sobie coś obejrzeć...

– Jakie to smutne – mówię do niego, sam nie wiem dlaczego – że musi pan z tego żyć...

Śmieje się nerwowo, podnosi na mnie wzrok – teraz w jego spojrzeniu nie ma nic bezczelnego, patrzy nie-

omal jak człowiek, z niejaką ciekawością. Zawsze popełniam błąd, gdy jestem szczery. On śmieje się i mówi w sposób świadczący o braku rozeznania w tej kwestii:

– Och, przeżyć...

I nagłym gestem ściąga kapelusz, rzucając:

– Proszę mi wybaczyć...

Skręca za rogiem; jak zręcznie znika w czeluściach La Canebière! Spoglądam za nim i po raz pierwszy od lat chciałbym za kimsz zawołać:

– Oczywiście, jakie to trudne... Proszę mi wybaczyć...
Jesteśmy ludźmi, jakie to trudne.

Do wszystkiego przywiera ciężka woń: zapachy, olej, skwar, noc na Południu z tym swoim lepkiem zamętem; a od czasu do czasu wszystko to spłukuje i zaciera płynące od strony portu gorzkie tchnienie zastałych wód morza.

Alzacyjnyk

*Na Cap Polonio,
w marcu 1926*

Na brzegu stoją dwaj neapolitańscy muzykanci, śpiewają paryską piosenkę poetycką. Aktorka, która z powodzeniem wykonywała ją swego czasu w pewnym francuskim teatrze, kiwa im głową i woła w dół, w kierunku brzegu: *Valencia!*... Stoimy przy burcie, czekamy na odcumowanie, poniżej zaś, na międzypokładzie, siedzi w ciszy kompania francuskich żołnierzy; niektórzy z nich polegają na płaszcach bądź opierają się o barierkę. Przy samym skraju nabrzeża stoją francuscy ojcowie i francuskie matki, z tobołkami i koszykami. Pożegnania mają już za sobą – teraz nie płaczą, nie krzyczą, nie machają, ponieważ są Francuzami, którzy wiedzą, że bólu nie wypada okazywać publicznie.

Miesiąc później znów ci młodzi żołnierze, tym razem między Bejrutem a Damaszkiem, na posterunkach wzdłuż linii kolejowej, w czterdziestostopniowym, przyprawiającym o omdlenie skwarze, pod górami Libanu; i podróż z nimi, pod jednym dachem, w pociągu pancernym do Damaszku, a śladem każdego ich kroku – straszliwy swąd wojny. I w każdym ich ruchu, geście ta przywodząca do rozpacz, rześka chętność: „Jeńców nam nie trzeba” oraz „Nie wolno trafić do niewoli”.

I ich powód, dobry powód, by tak myśleć. Tak dobry, jak i powód wybuchu wojny tam, w Syrii – i zresztą każdej wojny, którą prowadzą „mocarstwa” i którą nakrecają dyplomaci.

Te młode twarze patrzą teraz wprost na brzeg, w niedłwie posępne chłopskie oblicza kobiet i mężczyzn stojących w dole na nabrzeżu. Nikt się nie odzywa, panuje cisza, świeci słońce.

Niezauważalnie statek rusza. I ta droga, wiodąca mnie przez cały Egipt, aż po Sudan, poprzez Palestynę, a także przez Grecję, Turcję i Włochy, żeby dopiero miesiącę później doprowadzić do ponownego spotkania z towarzyszami początku podróży, z tymi młodymi żołnierzami u stóp gór Libanu, w Syrii, ta wyprawa rozpoczyna się dla mnie od takiego właśnie akcentu, który towarzyszy mi potem cały czas – od spojrzenia stu młodzieńców, których francuski statek wiezie do Syrii, aby tam polegli wskutek polityki wielkich mocarstw. A wszystko to dzieje się tak mimochodem, tak cicho, że człowiek mógłby sądzić, że tych młodych mężczyzn wiezie się na jakieś manewry czy po to, żeby zbudowali gdzieś most; w pierwszej zaś klasie oficerowie w białych rękawiczkach proszą panie do tańca. Później, w takie gorące i jasne tropikalne noce, w drodze do Afryki, spojrzenie czasem z okna sali balowej na tamtych żołnierzy, jak leżą na płaszcach pod rozgwieżdżonym niebem, między niebem a wodą, i przy płynących z pierwszej klasy dźwiękach jazz-bandu czekają, żeby ten statek zawiózł ich pod obce gwiazdy, gdzie trzeba naprawić to, co zepsuł generał Sarrail...

Taki to obraz będę nosić w sobie tygodniami pełnymi emocji i wszędzie, gdzie ktoś pokaże mi znaki świadczące o sięgającej tysiący lat wstecz „wielkości człowieka”

– ostrosłupy i piramidy, świątynie i bogów, na których cześć przed pięcioma tysiącami zmasakrowano tu i ówdzie w interesie imperiów kilka tysięcy ludzi – będzie mi się przypominał widok z początku podróży: stu niemo wzruszonych ludzi na międzypokładzie i posępne oblicza mężczyzn oraz kobiet w dole na brzegu, bez mała już obojętnych z bólu, stojących nieruchomo w czarnych odświętnych strojach chłopskich z Bretanii, na granicy francuskiej ziemi, i spoglądających za statkiem, póki widać na horyzoncie pasemko, kreskę dymu unoszącego się z komina. Jak mocno wbije mi się w pamięć tamten obraz, obraz tamtych chłopów z ich wstydliwie skrywanym, bezbrzeżnym bólem, stojących przed statkiem, przed wagonem towarowym, jak często będę przywoływał go w trakcie tych dziesięciu lat od czasu podróży... Im, jedynie im przypada ta cięższa, trudniejsza część, wszędzie na świecie; tym właśnie cichym chłopom, którzy bezradnie spoglądają za swoimi synami.

– *Valencia!*... – mówi aktorka, a potem przedstawia się jej pewien podporucznik i razem odchodzą wypić aperitif.

Także podporucznika posyła się do Syrii. Statek jest już w drodze, od morza płynie świeże powietrze i wypłukuje mi z nosa Marsylię, ciężką woń tego tłustego, niespokojnego miasta, na którą składają się kurz, perfumy, węgiel kamienny, olej, zgiełk, dziwne, strojne kobiety, znów perfumy, znów zgiełk, trochę pracy, mnóstwo szumu, gardłowania, niewzbudzająca zaufania i nasyciona emocjami atmosfera wielkich portów na Południu, a potem znów mieszają się ze sobą słodkawy, rozchodzący się wokół zapach perfum, promienne słońce i kurz... Przechodzę wzdłuż burty, na pokładzie w trze-

kiej klasie stoi czwórka młodych Żydów, jedna dziewczyna i trzech chłopaków, wszyscy czworo wystrojeni z żenującą budapeszteńską elegancją. Emigranci. Oni też nie żegnają się z Europą; stoją w milczeniu, jedno odwrócone plecami do brzegu. Statek płynie już szybko, od strony Zatoki Lwiej można nawet wyczuć w morzu niewielki, niespokojny prąd. Parowiec holowniczy już się pożegnał, świeci słońce, a ponad wodą wieje świeży, słony, przesycony zapachami wiatr. Przypominają mi się tamte dwa wagony towarowe na stacji w Lyonie. Ten obraz nie chce zniknąć mi sprzed oczu – odzywa się ciało, zaczyna mnie mdlić. W tym momencie czuję bliskość z czterema żydowskimi emigrantami stojącymi tam w dole; i uświadamiam sobie, że ten odruch protestu wcale nie jest osobisty. Wygląda na to, że nie tylko ja jestem urażony, lecz że współczesnym świadkiem minionego obłąkanego dziesięciolecia jest oprócz mnie każdy, kto wdrapał się na ten statek, a nie żegna się z Europą, nie macha, niczego nie oczekuje i na nikogo się nie gniewa, lecz ma przez moment wrażenie, że wraca do siebie do Azji, a odrywa się od Europy, gdzie koniec końców nabrano go, oszukano, obrabowano i zepsuto. To wrażenie powróci do mnie potem raz jeszcze: w Jerozolimie, pod Bramą Jafy, na targu, pośród azjatyckich Arabów – ten przymus ucieczki, ratowania się: z tarbuszem na głowie wmieszać się w bezkresny tłum, pozostać w Azji, do nikogo nie pisać, wszystko zapomnieć, wojnę i literaturę, wielki kapitał i telefon, wrócić do siebie, do domu, pod palmę, i z tymi setkami milionów dalej śnić ów wielki wschodni sen – sen o ojczyźnie, którą niegdyś opuściłem.

W kabinie telegrafisty szumi radio. Stenograf zapisuje najświeższe wieści z Londynu i Paryża, przygoto-

wuje gazetę radiową, która wieczorem zostanie rozdana pasażerom w restauracji. Najświeższe wieści z Londynu i Paryża na otwartym morzu, między dwoma kontynentami, osobiwie tracą na znaczeniu. Widziałem bankierów, którzy na statku odpychali na bok, znudzeni, najnowszą informację o kursie franka, i widziałem samego siebie – kogoś, kto przez dwa miesiące nie wziął do ręki gazety.

Wieczorem barman zdradza mi, że statek, ta dziwna, wypełniona losami arka, która płynie tu nocą, ze mną i z tysiącem innych na pokładzie, wcale nie jest francuski; a jego nazwa – waleczne imię Generał Metzinger – wcale nie jest prawdziwa. Statek ma pochodzenie niemieckie, to Cap Polonio¹, który w momencie wybuchu wojny ugrzązł razem z nim, barmanem, w Brazylii, a następnie po skomplikowanych pertraktacjach trafił w ręce francuskiego towarzystwa żeglugowego. Francuzi przemalowali niemieckie napisy na francuskie, a Cap Polonio – teraz już pod francuską banderą – płynie w kierunku Afryki.

– Ja jestem Alzatczykiem – mówi barman. – Przedtem byłem Niemcem, teraz jestem Francuzem. Mój ojciec był Francuzem, matka Niemką. Ale firma zatrzymała mnie, ponieważ jestem Alzatczykiem. Starą załogę oczywiście odprawiono. Ja tu zostałem, bo sam o to prosiłem. Jestem na tym statku od dwudziestu lat.

Milczymy, on miesza napoje, jesteśmy w barze sami. Krząta się, spokojnie, ale z energią; widać po nim, że na tym statku, na którym żyje od dwudziestu lat,

¹ Opowieść barmana jest kompilacją losów co najmniej dwóch różnych statków zatrzymanych w Ameryce Południowej w związku z wybuchem pierwszej wojny światowej.

czuje się jak u siebie, jak w domu. Ostrożnie dodaje jeszcze:

– Wszystkiego próbowałem, moja żona mieszka w Marsylii, mamy dwie córki, usamodzielniałem się na łądzie, aż w końcu nie wytrzymałem, wróciłem na statek, bo... – urywa, namyśla się, szuka słów – bo tylko tutaj jestem wolnym człowiekiem... Nigdy nie opuszczam statku, jeśli zawijamy gdzieś do portu; nie lubię schodzić na ląd. Zostaję tu, żyję na nim od dwudziestu lat. Teraz już zresztą mnie stąd nie przeniosą, wiedzą, że chcę na nim zostać.

Na pokładzie wiatr podrywa płachtę; barman wychodzi, poprawia coś starannymi i wyćwiczonymi ruchami, gestami właściciela, który strzeże swego majątku. Ten niemiecki stary i ułomny statek, który pod francuską banderą płynie tu po morzu, zupełnie niczym kawałek Alzacji, dla niego, dla Alzatczyka, najwyraźniej jest ojczyzną. Sto metrów kwadratowych desek między kontynentami, obszar, którego nie jest skłonny nigdy więcej opuścić, póki żyje – on albo statek. Na międzypokładzie toczy się nerwowy, przepełniony podnieceniem dialog: czwórka emigrujących Żydów spiera się na temat nowej ojczyzny, której szukają i wypatrują; na temat Palestyny. Barman wychodzi przed drzwi kabiny, z chłopskim spokojem nabija fajkę, siada sobie, słucha namiętnej dyskusji, spleta przed sobą ramiona. W tej chwili naprawdę wygląda jak alzacki chłop przed swoim domem po całym dniu pracy. Nie obchodzi go spór tych, którzy zajmują ziemię ojczystą; on jest już w domu.

Gdy tak siedzi, ma w sobie jakąś tragiczną godność. Trwa nieruchomo, niczym przemalowane sumienie statku: inni odeszli, on pozostał, pozostał u siebie w do-

mu, bo tutaj jest jego miejsce. Czego miałby szukać w Pekinie? Czego miałby szukać w Marsylii? Czego miałby szukać w świecie? Nie udaje się do Palestyny, aby zająć ojczyznę, ani nie udaje się do Strasburga; on zostaje tu w domu. Ciśnie mi się na usta, że zostaje tu w domu na ojczyściej ziemi, w tym barze, na pokładzie Cap Polonio, gdzie żyje od dwudziestu lat.

A zwój lin, o, tam w kącie, jest dla niego tym, czym dla kogoś innego – akacja¹.

¹To oczywiste nawiązanie do domu rodzinnego Máraiego w Kassy, tam na podwórku rosła właśnie akacja, przywoływana również w innych utworach pisarza.

Modlitwa za zmarłych

Pan Dyck, który wie wszystko, tylko po francusku nie rozumie ani słowa, i który był w grupie osadników przybyłych do Tel Awiwu po pierwszej wojnie światowej – ale cała ta sprawa mu się znudziła, bo chciał pracować z Arabami, stanowiącymi jego zdaniem lepszą siłę roboczą niż Żydzi, lecz ten zamysł został udaremniony – słowem, pan Dyck po herbacie odnalazł mnie na pokładzie, zdenerwowany, i przedstawił swoje skargi.

– Podróżuje tu na międzypokładzie jeden stary Żyd – powiedział z nienagannie berlińskim oburzeniem – któremu uniemożliwiono odmówienie modlitwy za zmarłych.

Przeżyliśmy nieopodal Krety, panował wielki skwar.

– Nie rozumiem – odparłem z roztargnieniem – jak można komuś uniemożliwić odmówienie modlitwy? Jeśli ktoś chce się modlić, siada albo i nie siada, skupia się w ciszy i się modli. W jaki sposób inni mogą w tym przeszkodzić? Niech pan popatrzy na Kretę...

Jednak pan Dyck ma innego rodzaju troski i jest błądy ze zdenerwowania. Podróżuje pierwszą klasą i udaje się teraz do Palestyny tylko po to, żeby ściągnąć tam swoje należności. To człowiek chory na żołądek, nerwowo; ja nie mogę mieć nawet pojęcia – mówi – jakież emocjonujące lata przeżył w Berlinie; inflacja i stabili-

zacja, brak kredytów, człowiek nie wie, co będzie, jak się obudzi następnego dnia! Popsuł sobie żołądek. Ma słabe nerwy. Nie może spać. Nie pije alkoholu, ale dużo pali. Cały ten człowiek to jeden ogólny, ostateczny rozstrój żołądka. W dobrze skrojonym ubraniu spaceruje tu po pokładzie w pierwszej klasie, informuje się po niemiecku, nerwowo mruga oczami, gdy wzrok kieruje na wyspę, mewę, kobietę, kelnera. W kieszeniach upycha gazety i brom. To nerwowo chory spekulant, który wie, że zainwestował już w interesy więcej, niż może zyskać: własne zdrowie, życie, wiek męski; to zwyczajnie każdego dnia tonący, nowoczesny człowiek interesu. Wagon sypialny, telefon, kolej żelazna, kursy i ceny, auto. Niekiedy raz i drugi uderza się w czoło, jakby w przestraszu pytał: „O mój Boże, co ja zrobiłem?...”. W takich momentach zastanawia się, dlaczego nie kupił raczej papierów wyemitowanych przez Siemens-Halskego. Majątku już od dawna nie posiada; ma tylko „interesy”.

– Ten stary Żyd na międzypokładzie, nazwiskiem Schlesinger – mówi teraz i ogarnięty gniewem zapala papierosa – nie może odmówić modlitwy za zmarłych.

– On kona? – pytam przestraszony.

– Nie; ale umarła mu matka. Nie teraz, przed czterema już laty. Modlitwę za zmarłych odmawia się w dwóch, jeden ją odczytuje, a drugi za nim powtarza. Wszystko to musi odbywać się dość głośno, jeśli się chce, żeby coś dało. Pasażerowie na międzypokładzie nie mają kajut, a nikt nie może się przecież domagać od Schlesingera, żeby modlitwę za zbawienie duszy swojej matki odmawiał pod gołym niebem, w otoczeniu tuzina motocykli, dwóch koni, kompanii francuskich piechurów i niewierzących żydowskich emigrantów.

Do takiej modlitwy potrzebne jest pomieszczenie zamknięte, przynajmniej jakaś kabina. Drugi oficer, który załatwia sprawy administracyjne związane z życiem na statku, odrzucił prośbę i nie dał pogrążonemu w żalobie Żydowi kabiny na cele modlitwy; jeśli chce się modlić, to niech się modli na pokładzie...

Mruczę pod nosem „hm”. Statek będzie jutro w Aleksandrii, mówię nieśmiało; czy nie można by odłożyć modlitwy do tego czasu?... Tam znajdzie synagogę, ciszę, samotność.

– Nie! – energicznie odpiera pan Dyck. – Po pierwsze, modlitwę należy odmówić w dniu, w którym przypada rocznica śmierci. Po drugie, tu chodzi o coś więcej...

Wyłuszcza, o co tu chodzi. Słucham go z niepokojem. Każdy statek to zamknięty świat, społeczeństwo w soczewce, z kastami, warstwami, klasami, z panującym i niewolnikami, z odrębnym kodeksem. Jest tutaj wszystko – w mniejszej skali – co na brzegu oddziela od siebie ludzi. Nacje, klasy... i dopiero cztery dni, jak wyruszyliśmy, a na naszym statku pojawiła się już nawet i kwestia żydowska. Ciekawe, jak bardzo zdenerwowany jest pan Dyck! W Berlinie ma biuro na Mommsenstrasse i raz w roku, kiedy przypada Sądny Dzień¹, zwykł chodzić do świątyni, lecz teraz argumentuje z frenetyczną niepoczytalnością człowieka nerwowo chorego... Ale przecież ten Żyd ma prawo!... Tu chodzi o coś więcej!...

Wchodzimy do salonu, siadamy. Staram się go uspokoić, bez powodzenia. Niech pan posłucha, proszę go, być może to wszystko nie jest jednak tak ważne. Tego

¹*Hosszúnap* (węg.) – błędna węgierska nazwa święta Jom Kippur, które jest jednym z najważniejszych świąt w judaizmie i ma charakter pokutny.

rodzaju kwestii nie wolno stawiać na ostrzu noża, gdyż są one niebezpieczne. Drugi oficer z pewnością nie jest antysemitą, tylko sztywno, drobiazgowo trzyma się regulaminu, który zabrania pasażerom z międzypokładu przekraczania linii odgraniczającej pierwszą klasę. Wszystko to jest bardzo smutne, ale świat, niestety, jest jak na razie taki małostkowy i niedoskonały. Pan Dyck wali się w pierś; jeszcze zobaczymy! Jego słowo ma jakieś znaczenie w Berlinie i także w biurach syjonistycznej egzekutywy¹. Mam iść z nim do kapitana i powiedzieć, że jeśli natychmiast nie dadzą pogrożonemu w żałobie Żydowi osobnej kabiny na cele modlitwy, to on, pan Dyck, podejmie stosowne działania, aby w przyszłości żydowscy emigranci nie płynęli przez morze statkami tego francuskiego towarzystwa. Tak, odpowiadam, ale na razie to najtańszy sposób, a oni jakoś przecież będą musieli przedostać się przez wodę.

– Jest i towarzystwo włoskie – mówi pan Dyck – a ono zapewnia także czystość koszerne go wikt u.

Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, bo przypadkiem wiem, w jak wielkie tarapaty popadło to włoskie towarzystwo żeglugowe, kiedy naczelnemu rabinowi Triestu przyszło raz do głowy, żeby zbadać zapasy zakwalifikowane jako „koszerne”... Uzgadniamy, że pan Dyck „podejmie stosowne kroki”.

Na razie podejmuje kroki tu na pokładzie: idzie tak, że aż dudnią mu pod stopami deski. Widać po nim, że ta obraza bardzo go dotyka – postrzega ów atak jako sprawę osobistą. Jeszcze nie widziałem, żeby ten cichy,

¹ Najprawdopodobniej chodzi o Centralverein, organizację założoną w 1893 roku, która w 1926 roku była największą organizacją skupiającą Żydów niemieckich (przyp. red. meryt.).

dobrze ociosany, nerwowy i nieco ograniczony człowiek był tak niecierpliwy i nastawiony na osiągnięcie celu, żeby był w stanie takiej aktywności. Mamy Wielką Sobotę katolickiej Wielkanocy, zbliżamy się do Egiptu. Pan Dyck patrzy na Kretę, a zza jego zaciśniętych zębów nieoczekiwanie padają słowa:

– Źle czynią Żydzi, nie jadąc do Palestyny.

– Ale pan – oponuję – przecież tam był i wrócił...

– Ja – przyznaje nieledwie z pogardą – wróciłem, bo nie byłem w stanie tam żyć. Ja mam w Berlinie biuro, mieszkanie... Ale – kończy, wykazując się uporem, jakby właśnie teraz pojął prawdę – tamci Żydzi, którzy mogą, źle czynią, nie wyjeżdżając do Palestyny.

Schodzi po stopniach prowadzących z pierwszej klasy na międzypokład, by poinformować pogrążonego w żałobie Żyda, że na razie niczego nie udało się załatwić w jego sprawie. Po kwadransie ruszają na pokładzie wieczorne spacer. Przed salonem siedzą oficerowie i piją mocny alkohol, wszyscy paplają, czekają na kolację. W pewnym momencie ktoś woła: „Proszę państwa, proszę tylko spojrzeć...”. Pasażerowie śpieszą do przeszklonych okien górnego pokładu, bo trafia się coś ciekawego do obejrzenia, a do czegoś takiego nie potrzeba sygnału trąbki. I widzą następującą scenę:

Na międzypokładzie w najlepsze trwa modlitwa za zmarłych. Przy barierkach stoją piechurzy z odkrytymi głowami, w otwartych boksach – dwa konie, a dalej dwanaście motocykli. Środek placu jest pusty, stoi tam Schlesinger, z modlitewnikiem w ręce, przed nim jakiś inny człowiek, też z modlitewnikiem, w niewielkiej zaś od nich odległości, między końmi a tą modlącą się dwójką, stoi pan Dyck, blady, z zaciśniętymi zębami, niby uczestnik demonstracji. Publiczność opiera się

o barierki, przygląda się i przysłuchuje modlitwie. Wszyscy są poważni, piechurzy stoją nieomal na baczność. Na międzypokładzie chłoszcze wiatr i – niczym tenisista uderzający piłeczkę – hurkocze słowami z ust tych, którzy odprawiają modlitwę...

...tak oto płyniemy ku Ziemi Obiecanej. Powietrze jest ciepłe, mamy wieczór. Dwaj Żydzi głośno się modlą, tak samotnie, tak osobno w tej społeczności, odzieni od wszystkich, zgoła w tragicznej pustce. Za trzy dni będą w Palestynie. Stoją pośrodku pokładu, wśród obcych ludzi, krnąbrnie, hardo, bez reszty oddani modlitwie, na zewnątrz innych nacji, w otoczeniu koni i motocykli. Są sami na świecie.

Pan Dyck wraca później do salonu, przez cały wieczór jest milczący, uśmiecha się blado i z konsternacją, jakby za coś przeproszał.

Spis treści

Przedmowa (do nowego wydania)	5
---	---

Zaczarowane miasto

Bydło w wagonie	11
Alzacyjnyk	16
Modlitwa za zmarłych	23
Afryka	29
Wielu snobów, jeden faraon	38
Carter, ten Anglik	49
Ahmad Rumi	56
Arabowie w Asuanie	62
Zaczarowane miasto	69
Laski spacerowe	77
Pewien uczoney	82
Wielbłądy	89
Modlący się człowiek	94

Na Ziemi Obiecanej

Stacja wysoko na górze: Jerozolima	101
Państwo żydowskie	110
Żydzi u siebie, w domu	120
Kobieta w Jerychu	126
Osiedla	134
Samarytanie	144
Betlejem	150
Wystawa w Tel Awiwie	154

Przed bramą Wschodu

Przed bramą Wschodu	165
Podróż do Damaszku	176
Cichy dzień w Damaszku	187
Francuzi w Syrii	196
„Panorama di Rodi”	203
Krzyczący derwisze	210
Podejrzliwi Turcy	219
Statki w Stambule	227
Ateny odprawiające pokutę	233
List do Paryża	241
U bram wielkiej literatury (<i>Irena Makarewicz</i>)	245

Śladami bogów to dziennik z podróży, jaką Sándor Márai odbył w 1926 r. na Bliski Wschód. Odwiedził Egipt, Palestynę, Liban, Syrię i Turcję, a także Grecję oraz Włochy. Podziwiał egzotyczną przyrodę i starożytną architekturę. Rozmyślał o trwającej już wiele tysięcy lat historii regionu, jak również z wielką uwagą przyglądał się narodzinom przyszłego państwa izraelskiego. Na swojej drodze spotkał wielu ludzi. Odnosił się do nich ze szczerą ciekawością i otwartością, by poznać ich kulturową odmienność. Nigdy jednak nie zapominał o ukochanej Europie i z perspektywy Wschodu krytycznie spoglądał na Stary Kontynent, odradzający się po wojennej pożodze.

Wykraczając poza dziennikarską formę, książka *Śladami bogów* jest nie tylko zbiorem reporterskich relacji, ale też zapisem błyskotliwych refleksji, lirycznie ukazanych wrażeń i trafnych spostrzeżeń, które nic nie straciły na czasie.

ISBN 978-83-07-03496-6



9 788307 034966

www.czytelnik.pl

DOSTĘPNA TEŻ JAKO

E-BOOK